

Na drodze ku przeznaczeniu

30 sierpnia 2009

Wygląda na to, że pan minister Skarbu Państwa Aleksander Grad nie musi się o nic martwić, bo chociaż na trzy dni przed końcem sierpnia nie ma żadnych wiadomości od nowego katarskiego szejka, który, tym razem już na pewno, kupi stocznie, to przecież premier Tusk nie tylko nie ośmielił się go zdymisjonować, ale nawet – powiedzieć mu złego słowa. Potwierdzałoby to podejrzenia, że pan minister wykonuje zlecone zadanie likwidacji przemysłu okrętowego w Polsce w ramach programu likwidacji przemysłu ciężkiego na obszarze przez strategicznych partnerów przeznaczonym na słynną „strefę buforową”.

Jak wiadomo, z takim postulatem jeszcze w końcówce lat 80. wystąpił Edward Szewardnadze, warunkując utworzeniem takiej strefy „między zjednoczonymi Niemcami a Związkiem Radzieckim” sowiecką zgodę na zjednoczenie Niemiec. Co więcej – za ministra Grada premier Tusk najwyraźniej będzie musiał beknać osobiście, bo właśnie stoczniowcy z Gdyni uzyskali zgodę władz Sopotu na demonstrację przed domem pana premiera. Założą tam na trzy dni namiotowe miasteczko, podobne do tego, jakie w swoim czasie pielęgniarki założyły w Alejach Ujazdowskich w Warszawie naprzeciwko Kancelarii Premiera, którym wtedy był Jarosław Kaczyński. „Będzie się działo!” – głosi hasło reklamujące piwo „Lech”, chociaż pewnie stoczniowców nie będą tam odwiedzały damy z kwiatami: pani Kwaśniewska Jolanta czy pani Gronkiewicz-Waltz Hanna – bo co Kaczyński – to Kaczyński, a co Tusk – to Tusk. Wprawdzie dr Olechowski, gwoździ sprawdzienia, czy Polacy pragną, by został prezydentem, wyruszy w podróż po Polsce dopiero we wrześniu, więc jeszcze światło od ciemności wyraźnie oddzielone nie zostało, ale damy i bez tego wiedzą, że skoro rząd premiera Tuska wykonuje misję zleconą przez naszą Katarzynę Wielką, to stoczniowcy, niechby i w namiotach, racji mieć nie mogą.

Zresztą prezes Jarosław Kaczyński też chyba do stoczniovców nie ma głowy, bo zajęty jest usuwaniem z państwowej telewizji „byłego neonazisty” w osobie Piotra Farfała. W tym celu przeprosił się z „układem” w postaci SLD, forsując do rad nadzorczych państwowego radia i telewizji kandydatów rekomendowanych przez SLD ze stajni Włodzimierza Czarzastego i Roberta Kwiatkowskiego, co to wchodzili do „grupy trzymającej władzę”. W związku z tym okazało się, że „układu” już „nie ma”, bo teraz już wszyscy chcą dobrze, co niewątpliwie potwierdza aktualność wiosennej deklaracji prezesa Kaczyńskiego, że odstępuje od walki z „układem” w imię wyższej racji, którą kiedyś naziści w języku nazistowskim wyrazili hasłem „leben und leben lassen”. No oczywiście nie wszystkim, bo takiemu „byłemu neonaziście” leben lassen nie można. W związku z tym zaniepokojeni pracownicy państwowej telewizji wprowadzili tam pogotowie strajkowe, które w każdej chwili może przerodzić się w strajk generalny. Pokazuje to, że polityczny program „państwa solidarnego” swoją bazę społeczną ma. Żeby tylko pan prezes Kaczyński, jak to ma w zwyczaju, znowu nie potknął się o własne nogi, bo wtedy skończy się na tym, że ani „byłego neonazisty”, ani faworytów PiS w państwowym radiu i telewizji nie będzie, bo powrócą starzy towarzysze z razwiedki.

Jednak te socjalne niepokoje schodzą na plan dalszy w obliczu rocznic, jakich obchodzenie pod koniec sierpnia i 1 września stało się u nas nową, świecką tradycją. 31 sierpnia będzie obchodzona rocznica sławnych Porozumień Sierpniowych, co to „jak Polak z Polakiem” i tak dalej. Wszyscy zachodzą w głowę, co też robi Lech Wałęsa, który znowu powziął kolejną śmiertelną urazę do prezydenta Kaczyńskiego za to, że ten nie tylko udekorował Annę Walentynowicz Orderem Orła Białego, ale w dodatku, w jej 80. urodziny, urządził na jej cześć w Pałacu Prezydenckim uroczystą akademię, podczas której, na domiar złego powiedział, że jej nazwisko pozostanie w encyklopedii. Tej zelżywości i zniewagi Lech Wałęsa już ścierpieć nie mógł, bo przecież ubecy jeszcze w latach 80. zapowiadali Annie

Walentynowicz, że w encyklopedii to będzie tylko Lech Wałęsa, a nie ona. A teraz takie rzeczy! Dlatego w specjalnym oświadczeniu ogłosił, że Anna Walentynowicz robiła dla Solidarności „więcej złego niż SB i władze komunistyczne”. Czy wobec tego Lech Wałęsa i wałęsiaki robią sobie swoją uroczystość, a Anna Walentynowicz z prezydentem – swoją?

Tego wykluczyć nie można, skoro 1 września na Westerplatte też odbędą się dwie uroczystości. Pierwsza – dla tubylców – o godzinie 4.45 rano, a druga – dla gości zagranicznych – o godzinie 15. Chodzi o to, że pojawiła się istotna różnica między tubylczą polityką historyczną a polityką forsowaną przez strategicznych partnerów, a zwłaszcza Rosję. Rosja nie tylko uważa, że II wojna światowa zaczęła się dopiero 22 czerwca 1941 roku – bo wcześniej odbywały się tylko operacje pokojowe albo wyzwolenicze, ale przede wszystkim, że wyłączną odpowiedzialność za jej wywołanie ponoszą Niemcy, z którymi – jak to wykryli ostatnio sławni uczeni radzieccy – namawiali się przedtem Polacy. Problem polega na tym, że tę wersję podaje do wierzenia nie tylko Rosja, ale również suwerenny Izrael, którego prezydent Szymon Peres, w zamian za obietnicę ruskich szachistów, że „przemyśłą” ewentualną sprzedaż przeciwlotniczych rakiet S-300 do Iranu, każdą wersję sprzeczną z najnowszymi ustaleniami sławnych radzieckich uczonych uznał za „niegodziwą”. W takiej sytuacji ani prezydent Obama, ani wiceprezydent Biden, ani Hilaria Clintonowa, ani też żaden inny polityk amerykański nie mógł ryzykować narażenia się na wysłuchiwanie jakichś „niegodziwości”, z którymi na pewno wystąpią tubylczy polscy dygnitarze, i na Westerplatte wysłali emerytowanego sekretarza obrony Williama Perry’ego. Ten, jakby tam nawet jakieś „niegodziwości” usłyszał, to zawsze może udać, że nie dosłyszał, a poza tym na emeryturze już nic takiego nawet suwerenny Izrael zrobić mu nie może. Zresztą Adam Daniel Rotfeld, jeden z asów, jakie w rozporoku chowa nasza dyplomacja, oświadczył, że w sprawie Katynia Polska nie będzie zniżać się do polemiki. W tej sytuacji tylko patrzeć, jak

sprawstwo tej zbrodni, przy naszym powściągliwym i wyniosłym milczeniu, zostanie przypisane „nazistom” – bo przecież nie Niemcom, którzy – jak już wiemy – byli pierwszą ofiarą „nazistów” – zaś, żeby już nikt na ten temat żadnych „niegodziwości” już nie wygadywał, do sławnego „kłamstwa oświęcimskiego” zostanie przez strategicznych partnerów dołączone „kłamstwo katyńskie”. Niezależnie od tego, powierzenie akurat emerytowanemu panu Williamowi Perry’emu reprezentowania Stanów Zjednoczonych na uroczystości 70. rocznicy rozpoczęcia II wojny światowej potwierdza obawy, iż – po pierwsze – Stany Zjednoczone póki co rezygnują z aktywnej polityki w Europie Środkowowschodniej i na razie żadnych dywersantów nie potrzebują i inicjatywę polityczną zostawiają strategicznym partnerom, w związku z czym – po drugie – obecne kierownictwo Departamentu Stanu traktuje Polskę już wyłącznie jako skarbonkę żydowskich organizacji przemysłu holokaustu, no i oczywiście – jako dostawcę darmowych askarisów na amerykańskie wojny kolonialne.

W tej sytuacji do rangi symbolu urasta planowana na 13 września impreza solidarności z kobietami w Iranie, gdzie pod egidą pani red. Anny Applebaum, prywatnie małżonki ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego, w charakterze międzynarodowego autorytetu moralnego wystąpi pani Maria Ludwika Weronika Ciccone, w rozrywkowym demi-mondzie zwana „Madonną”. To są inicjatywy, jakie polska dyplomacja może dzisiaj realizować w polityce międzynarodowej, a kto wie, czy nie w polityce w ogóle.

Autor: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: [Tygodnik „Goniec” z Toronto](#)